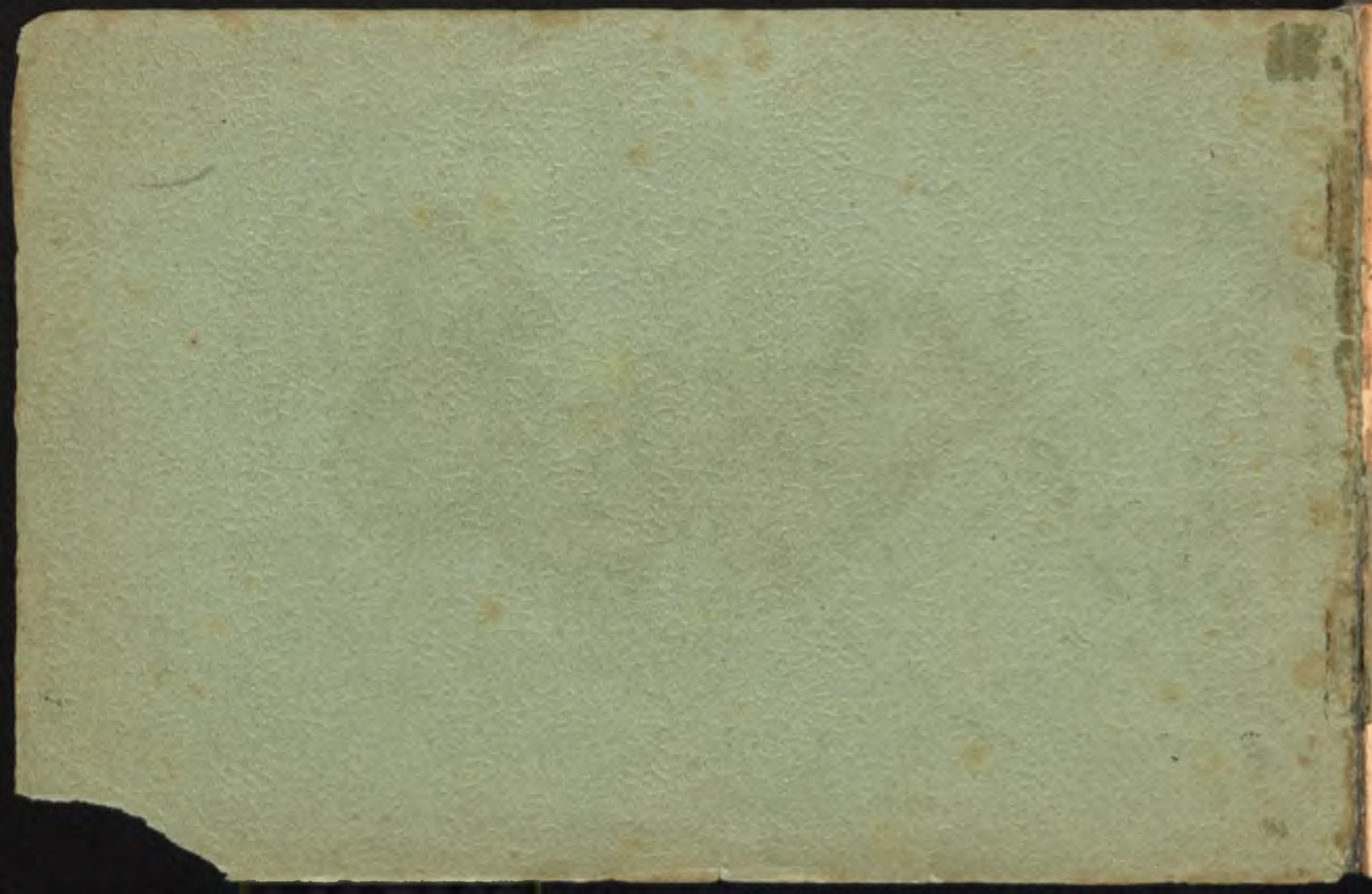


Biblioteka im. Hieronima
Łopacińskiego w Lublinie

2053c



WSPÓLNYMI SIĘ AMI.



WSPÓLNymi Siłami.

Aleks. CZARNIECKI
Młotki 1st. Gosc
Lublin, Narutowicza 23 m. 4

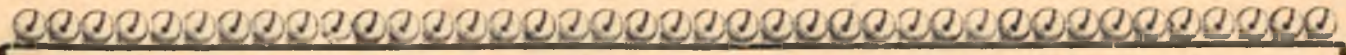


Jednodniówka Młodzieży

Lublin 1907. ● ● ●

LUBLIN. _____

DRUKARNIA ESTETYCZNA R JACZEWSKIEJ,



Nad nami burza mknie szalona,
Druzgocząc w swym niszczącym pędzie
Ludzkości twory, ludzkie łona
I pozostawia ślady wszędzie.

Nad nami burza mknie.

Patrzymy w przyszłość pełni wiary,
Nadzieja błoga krew rozpala,
Widzimy, że już cierpień szala
Przeważa, zbliża się dzień kary.

Nad nami burza mknie.

I silni wiarą, duchem młodzi
W młodości widzimy broń potężną,
W młodości świat się ten odrodzi,
Z młodości stworzy siłę mężną.

Nad nami burza mknie.

Nad nami burza mknie szalona,
My słyszym jęki, widzimy bole,
Lecz czego starość nie dokona
W młodości wtłoczmy silną wolę.

.....

Nad nami burza mknie.

Bernard Buchholtz.





WSZAK TO WIGILJA.



*Adamowi P. za złote serce
—autor.*

Przyszedł do domu o zmroku.

Przedtym błakał się po ożywionych ulicach miasta—wszędzie widać było gorączkowy pośpiech: biedacy, bogacze, „szlachetnie” urodzeni i źle—wszystko to śpieszyło, dążyło, wszak to Wigilja. Gdy nadszedł zmrok, ruch ustał zupełnie i jego coś popchnęło ku domowi. O tej porze zwykł był siedzieć w domu przy stole, co prawda skromnie zastawionym, lecz razem z ukochanymi rodzicami i młodszym rodzeństwem.

Przyszedł do domu, zdjął czapkę, palto, powiesił je na odpowiednim miejscu, lampę zapalił i wziął kurs do ręki. Szło mu jakoś niesporo. Zwykle uczył się bardzo szybko, gdyż natura nie poskąpiła mu zdolności—dziś przeczytywał tylko bezmyślnie stronę za stroną i nic nie mógł zrozumieć—myśl jego pomimo woli błędziła gdzieś, hen. Naraz uprzytomnił sobie, że to Wigilja, że on nie zasiądzie do wspólnej wieczery, że pozostanie puste nakrycie, na które tam, w domu, wszyscy będą patrzeć ze smutkiem. Myśl tę odpychał od siebie, chciał zapomnieć, lecz ona nie dała się wyrugować —

przez chwilę zmagał się z nią, borykał, chciał stłumić,—ona coraz silniej tłoczyła się do mózgu i zawładnęła całkowicie jego jestestwem. Książkę odrzucił, przeszedł kilka razy nerwowym krokiem po pokoju, rzucił się na łóżko. Czuł się dziwnie osamotnionym—tego nigdy dawniej nie odczuwał. Co prawda lubił szalenie obcować z ludźmi, badał, co kto wart, co myśli, dla czego cierpi, z jednymi weselił się, z innymi cierpiał, lecz ludziom tego nie pokazywał, zdawało się na pierwszy rzut oka, że on nie będzie w stanie odczuć i wmyśleć się w duszę jakiegokolwiek człowieka—wiał od niego chłód, obojętność; pewnego rodzaju sztywność powstrzymywała wielu kolegów od serdecznych stosunków. Naogół uważano go za zdolnego, dość dowcipnego, obiecującego młodego człowieka, który już teraz okazuje lekkie zacięcie filisterskie—wszak jego ideałem jest befszytk.

Był zadowolony, że go ludzie nie znają, że uważają go za filistrzejącego młodziana, jakich na nieszczęście można spotkać wszędzie. To mu pozwalało zbliżać się i mieszać się z tłumem, wyszukiwać jednostki, obserwować i badać—czasami spotykał bratnie dusze.

Jego szafirowe głębokie oczy z przymkniętymi nieco powiekami wykazywały marzycielską naturę, ale pozatym nic nie zdradzało jego duszy. Jeżeli się różnił w postępowaniu swym od kolegów, kładziono to na karb jego indywidualizmu, lub częściej filisterstwa. On jednak umiał ludzi przeczuć—o ile ktoś na pierwszy rzut oka nie podobał mu się, usuwał się od niego, obawiając się, żeby kiedyś nie zaznał od niego przykrości—instynkt ten nie mylił go prawie nigdy.

Czasami gdy odkrył bratnią duszę, gdy szeregiem pytań rozbudził zaciekawienie co do swej osoby i przyjemne zdziwienie, mimowoli zwierzał się takiemu osobnikowi z chwil przeży-

tych dawniej—dźwięczała w jego słowach dziwnie smutna nuta, gdyż bojowaniem było jego życie. Ale były te zwierzenia tylko w chwilach wyjątkowych, które sam określał przez: źle mi. Potym był zły na siebie, na swoją słabość, że nie mógł zapanować nad sobą i częścią swego ja dzielił się z jakimś śmiertełnikiem, szybko zamykał się w sobie i znówu był zimnym, obojętnym.

Wycierpiał wiele od ludzi, to go nauczyło wystarczać samemu sobie.

Jeśli się czuł rozgoryczonym postępowaniem ludzi względem siebie, jeśli mu zwodnicze losy przynosiły zawody i przykrości, jeśli ból szarpał jego piersią, stronił wtedy od ludzi, biegł w pole i polska natura przynosiła mu ukojenie, uspokojenie, ziemia—matka przytulała go do swych piersi i wtedy odczuwał on najsilniej więzy, łączące go z tą ziemią, oblaną potem i krwią dziadów. Czy noc księżycowa, cicha, spokojna, z lasem pomrukującym, czy nawet burza i nawałnica z błyskawic tysiącami, grzmotami i piorunami, dawały ciszę jego skolataney duszy, potym wchłaniały go zupełnie i zapominał o swym istnieniu.

Wystarczał sobie sam.

Dziś coś w nim się rwało, zwykły spokój prysnął jak bańka mydlana, myśl jego, usilnie pracująca, powracała do jednego obrazu: przy stole jedno nakrycie puste, matka ławym wzrokiem spogląda w tę stronę, ojciec od czasu do czasu obetrze łzę, utyskując na chrzan, że taki mocny. Nieokreślony smutek i dziwny żal uczuł do swych kolegów, którzy wyjechali na święta; nawet jego współlokatorzy teraz tradycyjnym zwyczajem siedzą przy pośniku, a on?

Nie miał pieniędzy na wyjazd do domu. Dziś pierwszy raz dręczące wielu ludzi; „dlaczego“ stało przed nim. Dlaczego inni mają, wyrzucają niepotrzebnie pieniądze, w wielu wypadkach nie wiedzą, co z nimi począć, a jego los prowadził przez ciernie i dawał mu dźwigać krzyż. W pamięć mu wrył się obraz z minionych lat dzieciństwa—prawda, pamięta jak teraz: poszedł do szafki, aby wziąć kawałek chleba i zaspokoić głód, ale obszukawszy skrzętnie, nie znalazł ani skóreczki chleba; poprosił matki o chleb, matka z wielkiego żalu nie mogła wyrzec słowa, lzy tylko cisnęły się na oczy—uwięzły jej słowa; zrozumiał odrazu i pocieszał matkę, że to wola Boska, i niewinne słowa dzieciny dodały tylko otuchy wątpiącej matce, bodźca do nowych wysiłków.

Matka postanowiła oddać go do szkół, krwią pluła, pracowała, bo ojciec wtedy postradał zajęcie, lecz dopieła swego.

Trzy razy zdawał do gimnazjum, każdorazowo dobrze. Gdy pierwszy raz matka przyszła dowiedzieć się o rezultat egzaminów, od dyrektora-moskala usłyszała niegodziwe słowa: zdał, wasz syn, ale ja jego nie przyjmę, jeszcze czego, na jednej ławce będzie siedział obywatela syn, urzędnika syn, i jakiegoś tam robotnika. Po dwu latach cudem prawie go przyjęto—zdał na same piątki.

Jak błędne ogniki przesuwają się przed nim postacie kolegów—są między nimi i tacy, co nie szczędzili pariasowi przykrości, co starali się na każdym kroku wykazać mu swą wyższość na drabinie społecznej. On, wychowany w zasadach idealnych chrystjanizmu, słowa: „kochaj bliź-

niego twego" przywykł był wcielać w czyn, nie zdając sobie sprawy, że ludzie są ludźmi i że są innymi niżli on. Wieleż gorzkich słów usłyszał on od ludzi, jedni mu zazdrościli, uważając, że z powodzeniem mógł by być... szewcem—to bogatsi, inni, jego bracia, szary tłum, proletariat, bryzgali błotem na niego, że się uczy, przepowiadano rodzicom: wykształcić jeno dzieci, wyrosną na panów, was znać nie będą.

Ileż to razy podobne, ba, gorsze nawet przyjemności spotykały go od ludzi—on tylko zpolitowaniem patrzył na nich, lecz powoli zaczęła się wyradzać w nim gorycz do ludzi, nieufność, skrytość. Z bieżem czasu, kiedy już znalazł się w klasach wyższych, zaczęto zwracać na niego więcej uwagi w sferach tak zwanych inteligentnych—ustalił sobie markę dobrego korepetytora; wtedy już wielu możnych mieszkańców rodzinnego miasta na ukłon w łaskawości swej raczyło, jeżeli nie uchylić czapki, lub kapelusza, to w każdym razie dotknąć nakrycia głowy.

Jakże szybko lata gimnazjalne minęły, lecz on nigdy nie zapomni o tych chwilach: one są dla niego wielką pamiątką. Prawda, nauczycielowie mu dokuczali—ach ten szczególniejszą sympatię czuł do niego, ten pan od rosyjskiego, chciał przecie wpoić w niego, że on zawdzięcza wszystko „świętej Rosji“, że ona jest jedynie piastunką kultury, że wielka wschodnia potęga jest matką ludu polskiego, broni go od szlachty i „ksiendzów“, nawet od wyzysku. On, pamiętny słów dyrektora, co to matce cisnął obelgą w oczy, nie dawał posłuchu profesora przekonywającym słowom, ba nawet śmiał nazwać „wschodnich współbraci“ azjatami—tego zawiele było dla

pana psora..., i pan psor próbował złymi notami z przedmiotu zmusić uczniaka, co nie rozumie „błag ruszkiej kultury“ do uległości, lecz i to przeszło już bezpowrotnie.

W gimnazjum miał przebłysk szczęścia—pokochał i pokochał całą duszą. Pociągala go swym smutkiem, gdy zagrała na fortepianie zdawało się, że to skarżenie się brzoź płaczących w jesieni, że to jęk wichru w ciemne słotne noce—melodja płakała, rwała się... było coś w tej melodji, z jego własnego ja i to go przykuło do niej.

Lecz i to przeszło, bo przejść musiało.

Nawinął się odpowiedni konkurent i Ona wyszła za mąż.

Był na Jej ślubie i weselu—musiał, choć piersi ból rozsądzał, choć głowę jakby cisnęły żelazne obręcze, choć ludzi zdawał się nie widzieć wokół siebie. Musiał patrzeć jak pan młody szedł pijaniusieńki do ślubu—przecie go sam trzeźwił przedtym, utkwiło mu w pamięci: pan młody brał ślub w kaloszach.

Jak to wszystko daleko teraz od niego, widzi jak by za mgłą, jakby to jego już nie obchodziło, jak by to tylko czytał kiedyś—kiedyś, bardzo dawno.

A może on tego nie przechodził, może to tylko majaczenia... ach nie, to rzeczywistość, to wielka, lecz smutna prawda—w piersiach się coś rwie, coś go boli, gdy mu się przypominają tamte czasy, choć on teraz odczuwa już bardzo, bardzo mało.

Od chwili, gdy ona wyszła za mąż zmienił się do niepoznania. Miał silną wolę, charakter stały, nie zrażały go żadne przeciwności, szedł śmiało do walki z życiem. Jak to wszystko

pierzchło, zostało rozbite, jak bałwan morski podczas silnej burzy zostaje zmiażdżony i rozbity o skały.

Powoli czas zagoił ranę. Słowa „cudza żona“ działały na niego wprost jak zaklęcie magiczne, odsuwały go od niej o całe światy.

Przeboleł, przecierpiał, przechorował... Do zapomnienia pomogła młodość, życie, które otwierało szerokie przed nim podwoje, nęciło go nie uciechami, zabawami, lecz pracą, pracą dla wydzwignięcia upośledzonych warstw, z których on pochodził.

W pracy i obowiązkach znalazł ukojenie.

Pragnął dla siebie spokoju — powoli tak oczekiwany martwy spokój wewnętrzny nastąpił, więcej nic dla siebie od życia nie żądał.

A lata leciały.

Losy go teraz rzuciły daleko od domu — nie mógł być w domu, pierwszy raz nie spędza świąt wraz z rodziną.

Czuł nieokreślony ból, coś w rodzaju tego, jaki odczuwał na ślubie Jej; w gardle lży go dusiły — a nie mógł płakać... Rwałby ubranie na sobie, szarpałby piersi swe, ale jakieś drugie ja w nim zaczęło go nielitościwie wydrwiwać, chichotać wprost z niego — on, silny, mocarz woli... ugina się, ... che... che... che...

Lampa spokojnie rzuciła swoje żółtawe promienie i oświecała skromne mieszkanie jego.

Cisza niczym niezamącona panowała tu—zdawało by się, że to przybytek Cisy, a w nim zaczęła się zrywać burza. Już myśli czarne, jak chmury posępne i grożące szykowały się, piętrzyły by zacząć swój szalony taniec.

Naraz przytłumiony śpiew: „Bóg się rodzi“ wstrząsnął nim. Zerwał się, podszedł do okna. Naprzeciw choinka jarzyła się niezliczonymi światełkami. Uszczęśliwione dzieci bawiły się wokół niej—starsi śpiewali.

Ten śpiew wżarł się w jego mózg, w jego duszę... palił go.

Zaczął latać po pokoju, obłąkanym wzrokiem spojrzał naprzeciw i wybiegł z domu.

Biegł szybko przez puste ulice, minął roгатkę... dążył wciąż naprzód i naprzód. Jeden po drugim migaly mu przed oczyma słupy telegraficzne... on biegł, nie zdając sobie sprawy, dokąd pędzi i po co. Coś go parło, gonilo—biegł więc przed siebie, gdzie oczy poniosą.

Usłyszał wdali szczekanie psa. Zaczął jeden, po chwili odezwał się drugi, trzeci—głosy te to słaby to się wzmagały naraz przestał słyszeć zupełnie—widocznie wiatr powiał w przeciwną stronę, lub psy zmęczone ujadaniem przestały.

Naszczeukiwanie psów uprzytomniło mu, że znajduje się w pobliżu wioski.

Chciał być jak najdalej od ludzi, nie chciał nawet widzieć chat, zboczył na mniej szeroki gościniec i trzeba trafu... zjawił się w wiosce. W małych okienkach migaly radośnie światła.

Nie, on nie wytrzyma tego. Wszędy radość, a jemu dlaczego dziś w dniu tak uroczystym życie rzuca pod nogi głazy.

Mija kościół.

I tu się światła jarzą—bije luna od domu Bożego. Naraz z wieżycy zadzwieczyły dzwony weselnie. Biją dzwony i biją, szeroko wokół echo się rozchodzi—uderzy o pobliski las, odbije się dziesięćkrotnie w głębokim jarze, sięgnie do samego nieba.

Dzwonom wtóruje: „Bóg się rodzi“.

Biegł coraz prędzej i prędzej.

Powoli zaczęło ogarniać go zmęczenie, potrosze zwalniał biegu, nareszcie przysiadł na przydrożnej kupie kamieni.

Niebo iskrzyło się milionami gwiazd. Zdawało się, że one, to rozmawiają pomiędzy sobą—bliższe, to dają jakieś umówione znaki dalszym... migaly figlarnie, mrużyły oczy, potym je szybko otwierały. Sierp księżyca majestatycznie płynął po niebie. Zdawało się, że przegląda się i błyszczy na każdym drzewku pokrytym puchem śnieżnym, odbija od każdej okruszyny lodu.

Ogarniał go nieokreślony bezwład. Chwilkę jeszcze mocował się z sennością. Zdrzemnął się.

Teraz siedzi razem z rodzicami, siostrą i braciszkiem, dzielą się opłatkiem, życzą sobie zdrowia i trochę szczęścia. Swemu ukochanemu malcowi sprawił choinkę, malec się cieszy... Na wszystkich obliczach radość,—widać że to święto.

Potym poszedł na pasterkę—koło niego stoi Ona, rozpromieniona, radosna, śpiewa pieśń:
„Bóg się rodzi“. Kościół tonie w powodzi światła, w górze panuje półmrok.

Ludzi jak nabił. Twarze wszystkich wesole, jasne. A pieśń grzmi, przycisza się i potężnieje, uderza się o sklepienie... pieśń płynie z serc, przebija mury, biegnie w nieskończoną dal... aż polecą przed tron Przedwiecznego.

Przejeżdżający na pasterkę znaleźli go w stanie nieprzytomnym i powrócili do życia.

Z.

Ni to łol Gietryu





Zygmunt Tołwiński.

W dzień majowy.



I popłynęła pieśń. Popłynęła wielka potężna pieśń— modlitwa.

To lud śpiewał. Biedny, gnębiony przez wieki lud dawał ujście uczuciom swym. Duszę całą wlał w śpiew ten. Śpiewał sercem całym.

I pieśń płynęła, płynęła w mgłę i dobiegła tam—przed Jego tron.

A On skłonił głowę i słuchał. Słuchał pieśni rzewnej lecz potężnej, pieśni płynącej z ust milionów, z milionów serc.

„Przestań nas karać Boże zagniewany“, śpiewa lud. I wyrzutem, skargą, pieśń ta dźwięczy: „Panie, za co Ty nas karzesz, my nie winni“.

A On skargę zrozumiał, lecz tylko słuchał milcząc zimno.

I płynęła pieśń owa coraz dalej ku końcowi, pieśń wielka potężna—płynęła, aż wreszcie ucichła.

Wtedy On, wzruszony potęgą uczucia pieśni, podniósł głowę i przemówił.

I spłynęły słowa Jego z niebios na ziemię, wlewając radość i ukojenie w serca znękanych śpiewaków.

I mówił On: „Ja was nie karzę, i nie wyście winni. Jam ukarał przodków waszych, a was wystawiłem „tylko na próbę, abyście zahartowani wśród cierpień w walce z losem, odrodzeni i zdolni do dalszej pracy „weszli w życie i przodowali światu całemu. Jam was umiłował nad wszystko, gdyż kochacie wolność. A „gdy nadejdzie czas otrzymacie wolność i spełnią się błaganie wasze, bo, gdybyście zasłużyli na karę, w „prochy was obróćę, lecz w niewolę was nie podam“.

I spłynął głos Jego z niebios i połączył się z duchami śpiewaków.

I czuli wszyscy, że modlitwa wzniesiona w uroczysty dzień majowy, przed tron Najwyższego, nie pozostanie bez skutku.

Nadzieja wstąpiła w serca znękanego ludu.

Z.





TOAST

Na ściennym zegarze jadalnego pokoju wybiła godzina 7-a. Gospodarz mieszkania z niecierpliwością spoglądał na zegar, wyrzekając na niepunktualność zaproszonych na wieczór osób, trzeba dodać młodzieży, gdyż mam zamiar mówić o t. zw. „sztuhackim” wieczorku, i złość swą spędzał na służbie. Był to dom zamożny, a ponieważ scena, o której mowa, odbywała się w jadalnym pokoju, muszę poświęcić parę chwil opisowi tegoż. Pokój duży o dwóch oknach i czterech drzwiach, ściany zawieszone obrazami, między którymi był i obraz wyobrażający „Ostatnią Wieczerzę”. Na środku duży stół zastawiony, pod jedną z ścian kanapka i stół mniejszy i na koniec pod owym obrazem wyobrażającym „Ostatnią Wieczerzę” stolik mały. Kredensu, jak zwykle, gdy jest osobny pokój kredensowy, nie było. Około godziny 7-ej i pół zaproszeni zaczęli się schodzić. Na samym wstępie zostali powitani przez gospodarza i jego córkę i poprowadzeni do stołu na gorącą herbatę, gdyż było to w zimie w czasie 16-o stopniowych mrozów.

Schodzili się powoli i po godzinie 8-ej przyszedł ostatni.

Teraz przyjrzyjmy się zebranym—przedewszystkimi pannom. Były tam blondynki, szatynki, brunetki, wszystkie ładne i młode, gdyż wiek żadnej z nich nie przenosił lat 18-tu, w ładnych sukniach, wesole, śmiejące się i zadowolone z życia, które było dla nich dość łaskawym i skrywało przed nimi starannie swe strony ciemne. Młodzieńcy, należący także do wszystkich typów, byli ubrani w bluzy i mundury uczniowskie

i, że są ubrani „po balowemu”, można było poznać po białych krawatach i wykrochmalonych gorsach, wyglądających z głęboko wyciętych kamizelek. Byli oni także młodzi i co za tym prawie zawsze idzie weseli—wiek zaś żadnego z nich nie przenosił lat 20-tu. Nic więc dziwnego, że przy stole było gwarno i wesoło, tymbardziej, że rozmowa była ogólną.

Naraz z salonu położonego obok dały się słyszeć dźwięki walca. Młodzież, nie dokończywszy herbaty, rzuciła się tam i w parę chwil potem w jadalni nikogo już nie było. Rozpoczęły się tańce. Węć najpierw walc spokojny i marzycielsko usposabiający, później kontredans, mazur, rozmaite polki, galopki, oberki, wszystko to przerywane niewielkimi przerwami, w czasie których grajek i tańczący odpoczywali. Około godziny 12-ej dano znać, że kolacja na stole. Przewirowawszy jeszcze parę razy wkoło salonu, młodzież przy dźwiękach poloneza przeszła do jadalni, w której stoły były już suto zastawione. Gospodarz zaproponował wypicie „sznapsika”, co naturalnie znalazło uznanie i młodzieńcy podeszli do stolika pod „Ostatnią Wieczerzą”, na którym stały napełnione kieliszki, i poczęli pić przeplatając toastami. Pomysł toastów wyczerpały się po paru kieliszkach i już zabierano się do odwrotu gdy wtem jeden z młodzieńców, wysoki jasny blondyn, dość przystojny, uważany przez kolegów za bardzo skromnego i religijnego, wznosił dwa toasty, które tak niespodziewanie zaskoczyły kolegów, że wprost oniemieli—oni cynicy, uważający się za bezreligijnych.

Pierwszy toast brzmiał: Niech żyje cholera! Parę głosów tylko podchwyciło to, lecz wszyscy wypili. Później młodzieniec zwracając się do obrazu wiszącego nad stolikiem, a właściwie specjalnie do Chrystusa sledzącego między apostołami i wleczczającego z nimi, wyciągnął rękę z kieliszkiem, rzekł: „w Twoje ręce” i... wypił duszkiem. Koledzy oniemieli... Żaden z nich nie powtórzył tego i wszyscy, postawiwszy kieliszki, pozajmowali pozostawione krzesła obok „dam”, tak więc całe towarzystwo siedziało „przeplatane”. Zabrano się do jedzenia.

Z początku jedzono w milczeniu, lecz po zaspokojeniu pierwszego głodu usta zaczęły się rozwijać i już po kilku minutach przy stole było gwarno i wesoło zwłaszcza, że wypity „sznapsik„ wpłynął dodatnio na polepszenie humorów.

Jeden tylko młodzian, który wznosił ten bluźnierczy toast, milczał. Różne wrażenia i myśli zajmowały jego umysł, co łatwo można było poznać po jego zewnętrznym wyglądzie. Czoło zmarszczone, oczy utkwione w jeden punkt z wyrazem graniczącym niemal z obłędem pokazywały, że myśli jego nie są zbyt podobne do myśli całego śmiejącego się grona. Na zapytania sąsiadek i kolegów nie odpowiadał, gdyż nie słyszał i nie rozumiał co się wokoło niego działo. Dopiero, kiedy zaczęto wstawać od stołu, ocknął się i wstał. Jak automat podszedł najpierw do Pani domu, później do jej męża, podziękował im i zupełnie już machinalnie podawał rękę kolegom i koczankom. Całe towarzystwo przeszło do salonu i zabawa rozpoczęła się na nowo. Młodzieniec ten wszedł za innymi i usiadł na kanapce niedaleko drzwi. Pary przesuwaly się przed nim, a on siedział ukrywając głowę w dłoniach, nieczuły na wszystko. Naraz zerwał się ze swego miejsca i rzucił się w wir tańca. Tańczył do upadłego. Koledzy jego dawno już popadali na krzesła ze zmęczenia, a on wciąż tańczył. Tylko wypieki gorączkowe na twarzy świadczyły, że i on zmęczony tańczy tylko dzięki wewnętrznemu podnieceniu. Grajek przestał już grać, a on tańczył w dalszym ciągu i zatrzymał się dopiero po dwukrotnym zwróceniu mu uwagi przez „damę“, że już grać przestano. Posadził ją na krzesło, skłonił się i jak pijany powlókł się do pokoju przeznaczonego na „palarnię“, gdzie stały napoje chłodzące i owoce. Wypił szklankę zimnej wody i począł palić papierosa za papierosem, zbywając półśłówkami interesujących się nim kolegów. Na zapytanie gospodarza, który zaniepokojony zachowaniem się jego przyszedł dowiedzieć się co mu jest, odpowiedział wymijająco i prosił o zostawienie go w spokoju. Po wyjściu wszystkich rzucił się na stojącą tam kanapkę i..... ten młodzieniec, który jeszcze przed paroma minutami tak mężnie panował nad sobą,..... teraz zapłakał.

Twarz kurczyła mu się boleśnie, konwulsyjne dreszcze rzucały całym jego ciałem, pierś była poruszana ciągłymi westchnieniami i od czasu do czasu słychać było słowa jakby z zapytaniem zwrócone do kogoś: Za co? za co? za co? Przed oczami jego przesuwaly się rozmaite obrazy, poczynając od pierwszego zapamiętanego pacierza mówionego przy pomocy matki, aż do chwili wzniesienia tego bluźnierczego toastu. Szczególnie zastanawiał się nad ostatnim faktem, przyczyny którego sam nie znał, a chciał za wszelką cenę zgłębić: koledzy pili i on pił; przed nastąpieniem faktu został jakąś niewidzialną, a jednak nie dającą się ugiąć siłą popchnięty do obrazu i zmuszony, nie zdając sobie z tego sprawy, wymówił te słowa. Dopiero po tym wydartym przemocą okrzyku zaczął zdawać sobie sprawę z tego co się stało, opamiętał się i uląkł wymiaru kary przez tego przeciw komu zbluźnił. Te rozmyślenia zajęły mu czas aż do końca wieczorku—lecz nie dały żadnego wyniku, przyczyny nie znalazł.

Okolo godziny 8-ej rano młodzież zabrała się do wyjścia. Odpocząwszy nieco podziękowali gospodarstwu za gościnne przyjęcie i, ubrawszy się w palta, żegnani uprzejmie, wychodzili zadowoleni z wesoło i przyjemnie spędzonego czasu. On wychodził także. Ubrany do wyjścia chciał skłonić się raz jeszcze... gdy wtem, podniósłszy wzrok podczas ukłonu, spotkał na drodze ten obraz, zdawało mu się, że Chrystus z wyrzutem spogląda na niego i..... zemdlał.....





Wchodzimy w świat.



Wchodzimy w świat niedoświadczeni, młodzi,
Nie znając życia, które z nas się śmieje.
Lecz my dla niego w przeciwnieństwach powodzi
Chowamy wiarę miłość i nadzieję.
Wchodzimy w świat ten z wiarą w lepszą dolę,
W promienną przyszłość, w odrodzenie ludu.
Idziem, a każdy z nas, młode pachole
Z wiarą na przyszłość, oczekuje cudu.
Wchodzimy w świat ten wielki, niezmierzony
Z Nadzieją wielką na swe młode siły.

Czujemy się silni; lecz albo ogromy
Poruszym z posad, lub zstąpim w mogiły.
Z Miłością ludu wchodzim w świat szeroki,
Z Miłością wielką, potężną, głęboką,
Z uczuciem, które leci pod obłoki
I hen do niebios wzbija się wysoko.
Z nadzieją, wiarą, miłością naszych lat
Wchodzimy w świat.

Z. T.





KAZIMIERZ WYSZYŃSKI.

ANTEK.



Antek jest synem ubogiego szewca, z której to racji nie mógł odebrać, a co za tem idzie i nie odebrał wykwińskiego wychowania i nie raz za czasów wczesnej, a już „górnjej i chmurnej“ młodości połyka łyżę upokorzenia, którym bynajmniej nietylko nie starają się zapobiegać „koledzy“, ale jeszcze dają do nich powód, nazywając biednego Antka „ryfą“ i prześladowając go tym imieniem na każdym możliwym do tego, a nawet i niemożliwym miejscu. Historia krótkiego jak dotąd życia Antka jest niezbyt interesującą.

W dziewiątym roku życia bohater nasz, jak wówczas urwipoleć jakich mało, zapoznał się przy jakiejś stosownej ku temu oczywiście okoliczności z „paniczem“, zajmującym z matką apartament na pierwszym piętrze tegoż domu, w którego suterynie mieszkał on sam.

„Panicz“, liczący jak wówczas siedemnaście wiosen, dla jakiegoś wybryku kazał chłopcu przychodzić do siebie co dzień „na naukę“.

Nasz Antek, nie tyle może z chęci do nauki, ile z zabobonnego poszanowania do „państwa”, które nie dopuściło by mu nigdy do głowy nawet myśli o tem, iż można by się rozkazowi lub życzeniu biorącemu swój początek z „państwa” sprzeciwić lub oprzeć, nie wiem chętnie czy niechętnie, ale chodził „na naukę” do „panicza” regularnie przez dni dziewiętnaście, to jest akurat przez tyle, ile czasu trwała ta „pańska” fantazja.

Dnia dwudziestego z rzędu bowiem (oczywiście odliczając niedziele i święta) „panicz”, znużony swym filantropijnym czynem, odprawił naszego bohatera ode drzwi i zapowiedział, iż by mu się ten więcej na oczy nie pokazywał, rzuciwszy mu na pożegnanie „idź do djabła” i złotówkę.

Pierwszym czynem Antosia po takowym rozstaniu się z pierwszym swoim „umysłowym kierownikiem” było oczywiście zejście po schodach z pierwszego piętra na dół, drugim kupienie za cztery grosze, pochodzące ze świeżo otrzymanej złotówki, papierosów, trzecim wreszcie wypalenie jednego z tych ostatnich w miejscu, posiadającym tę dogodność, że go tam „tatulo”, czy też, jak kto woli „stary” nie mógł nakryć, co mogło by pociągnąć za sobą skutki nader nieprzyjemne dla osoby naszego bohatera.

Tak się zakończył pierwszy okres kształcenia młodego Antoniego Górki,

Odtąd życie jego szło normalnym trybem, nie przeżywanym przez żadne, podobne wyżej opisanemu, ekscesy przez rok i miesiące cztery, to jest do chwili, w której panna Wanda Czapska, biedna prywatna nauczycielka, utrzymująca ze swej pracy matkę i młodszą siostrę kalekę, nie posiadając tak wielkich zasobów materialnych, ażeby te pozwoliły jej na spłacenie zaległej i wciąż rosnącej od dobrych kilku lat sumy, należące się Adamowi Górcie, szewcowi, za naprawę trzewików, uznała za stosowne odwdziżyć się cierpliwemu wierzycielowi nauczaniem jego syna.

Ojciec propozycję przyjął chętnie i Antoś, już wówczas liczący sobie lat dziesięć „z ogonkiem”, zaczął się uczyć „na książce” (mówię „zaczął”, gdyż poprzednia „nauka” z „paniczem” wywietrzała mu z głowy), co mu przychodziło z łatwością i do czego z czasem nabrał ochoty, tak, że w niespełna dwa lata ojciec i zachęcony przez pannę Czapską, oddał chłopca do klasy pierwszej gimnazjum, polegając na zdaniu błędnej nauczycielki, iż z wpisem przy Boskiej i ludzkiej pomocy może jakoś tam będzie.

Po oddaniu syna do szkoły biedny szewc doprowadził go jeszcze do klasy trzeciej, ciągnąc ten ciężar do chwili, w której urwało mu się życie.

Antoś, za namową i przy pomocy, wciąż jeszcze panny Czapskiej, nie opuścił po śmierci ojca szkoły i nie opuścił takowej nawet wtedy, gdy matka jego, nie mając z czego utrzymać się w mieście, pojechała na wieś do krewnych.

Zarabiał on już od drugiej klasy marnie płatnymi korepetycjami, co mu było względnie dużą pomocą przy płaceniu wpisu, co jednak na całkowite zapłacenie takowego nie wystarczało.

Dopóki jednakowoż był w pierwszej, drugiej, a nawet jeszcze trzeciej klasie, nie zwracał bynajmniej uwagi na to, że zbyt obciąża kieszeń biednej panny Czapskiej, którą zaliczał do szczęśliwszej, mniej licznej „pańskiej” połowy rodu ludzkiego, a która uważała za swój święty obowiązek uciulanie, chociażby z odjęciem sobie odust, grosza potrzebnego do zaokrąglenia sumy wpisowego należnej za Antosia.

Dopiero, gdy doszedł do klasy czwartej, otworzyły mu się oczy na „pańskie” rozkosze „pańskiego” życia swojej protektorki, przez co pchnięty uczuciem, z większą starannością wyszukiwał korepetycje, biorąc ich coraz więcej na swoją głowę i pracując coraz więcej i staranniej dla dopięcia wielkiego celu, a mianowicie zapłacenia całego wpisowego z zarobionych przez siebie pieniędzy, czego dopiął już w drugiej połowie wyżej

wspomnianej czwartej klasy, a co wyjątkowo dobrze się złożyło, gdyż panna Czapska, zaskoczona w tym czasie nagłą śmiercią swej matki, nie mogła myśleć o pomocy dla niego.

Na wakacje, otrzymawszy promocję do klasy piątej, Antoś pojechał na wieś do matki, której nie widział od roku.

Tu po raz pierwszy zastanowił się na serjo nad swoją przyszłością.

Sytuacja przedstawiała się niewesoło. Na dalszą pomoc panny Czapskiej liczyć nie chciał i nie mógł: przybita ciosem, który spadł na nią niespodzianie, sama już zresztą coraz więcej się starzejąca i przez to coraz mniej posiadająca godzin lekcji, nie mogła jeszcze utrzymywać Antka, a cóż dopiero płacić za niego wpis. On sam, tymczasem, korepetycji nie spodziewał się mieć dużo, gdyż z dawniejszych zamówień miał tylko jedną, a na nowe nie mógł liczyć tak napewno, aby z nich czynić realne podstawy do swoich celów. Myśli te pierwszy raz zajęły jego umysł, a zajęły tak niepodzielnie, iż prawie zupełnie nie oddawał się matce, która z tego powodu czyniła mu ostre dosyć, a względnie nie zasłużone wymówki. Po długich jednakowoż rozmyślaniach przezwyciężyła chęć do nauki i młodzieńcza przedsiębiorczość; na miesiąc przed końcem wakacji zapadło w głowie Antka postanowienie, które obrazowo porównać można chyba do zatrzasku, którego po łatwym zamknięciu z jednej strony, otworzyć z drugiej bez pomocy klucza nie można. W danym zaś razie klucz, którym była matka, bojąca się wypuszczać znów w świat swego jedynaka, okazał się, zbyt słabym wobec zapytania, z czego się jej syn tu utrzyma; w początku więc września Antek powrócił do miasta z postanowieniem w duszy o treści mniej więcej następującej: do szkoły chodzić będzie, za wpis zapłaci tam, oraz będzie płacił panie Czapskiej za utrzymanie z zarobionych przez siebie pieniędzy.

W zastosowaniu praktycznym, jak się później okazało, najtrudniejszym było zmuszenie panny Czapskiej do przyjęcia zapłaty za mieszkanie i jedzenie od Antka, który musiał się uciekać do groźby wyprowadzenia się od niej, czem zastraszona biedna nauczycielka, następkawszy się na niewdzięczność, przyjęła ostatecznie pierwsze dziesięć rubli, które jej się notabene bardzo przydały.

Z dalszymi ratami było już łatwiej.

Niedługo jednak Antek chodził do szkoły, gdyż w końcu stycznia rozpoczęła się walka o wykłady w języku polskim, i na całe półtora roku opuścił jej mury po to, aby, po upływie tego terminu, wstąpić do klasy siódmej, jednej z prywatnych szkół polskich. Przez cały czas, tak zwanego „bezrobocia szkolnego“, u matki zabawił on tylko ostatni miesiąc sierpień, gdyż resztę czasu poświęcić musiał na dawanie korepetycji, oraz samokształcenie. Korepetycjami i lekcjami obecnie utrzymywać się musiał całkowicie, gdyż panna Czapska przeniosła się niedługo po wybuchu „bezrobocia“ do wieczności, pozostawiwszy na łasce niebios swą siostrę, z tego więc źródła Antek nietylko liczyć na najmniejszą bodaj pomoc nie mógł, ale sam jeszcze musiał dużo poświęcić czasu na wystaranie się o umieszczenie kaleki w jakimś przytułku.

Bolało go to bardzo, że matka, która obecnie służyła na wsi za gospodynię przy jakimś dworze, nie mogła się powstrzymać od przysyłania synowi krwawo zarobionego grosza, którego jednak, pomimo całego bólu, odesłać jej nie mógł, gdyż ledwo łątał koniec z końcem i nieraz chodził w kamaszach bez podeszew z dziurami na łokciach, bez kaloszy i mankietów, co mu jako „panu nauczycielowi“ mocno psuło opinię, a przez to i praktykę, czemu jednak zaradzić nie mógł, chyba przez zupełne powstrzymanie się od przyjmowania i tak bardzo skromnego pokarmu, na co w żaden sposób zgodzić się nie chciał jego, bądź co bądź ludzki, choć „chamski“ organizm.

Na przysyłanie jednak od matki pieniędzy postanowił nie pozwolić i w tym celu pisywał do niej wielokrotnie, co jednak najmniejszego nie odniosło skutku.

Dopiero, gdy się wyrwał do niej w lecie, błagać ją począł ustnie o zaprzestanie przysyłania pieniędzy, gdy to jednak nie pomagało, czepił się innego środka, a mianowicie przerywając swoje prośby, cuda opowiadać począł o swoim życiu, jak to on mieszka po pańsku, jak się ubiera (swoje podarte ubranie, jakie miał na sobie, wziął tylko dla tego, aby nie zniszczyć nowego na wiejskim kurzu), jak się bawi, gdzie bywa i inne temu podobne cuda, które trafiły dość prędko do serca matki, patrzącej na „pańskie” maniere swojego jedynaka.

W końcu sierpnia Antek wrócił do miasta, zadowolony z wygranej „batalii” i z wiarą w przyszłość.

Nie długo się jednak cieszył spokojem duszy, zadziwił go ton listów odbieranych od matki, coś złego przeczuwał, aż się sprawdziło.

Raz w godzinie popołudniowej w niedzielę siedział przy stoliku nad otwartą książką, której jednak nie czytał, a zamyślił się nad wybrnięciem ze swoich majątkowych kłopotów, które postawiły go wobec ostatecznej prawie nędzy, gdy lekkie poruszenie klamki zwróciło jego uwagę.

Proszę!—

Do pokoiku wszedł listonosz i, położywszy brudną kopertę na złamanym jakimś sprzęcie, grającym tu rolę krzesła, wycofał się.

Antek poznał po brudnej kopercie i niewprawnym na niej piśmie, że to od matki.

Zdziwiło go to, że matka, która przez trzy lata przysłała zaledwie cztery listy, obecnie pisze już trzeci w przeciągu czterech miesięcy.

Czuł, jak to się mówi „czym to pachnie,“ z niepokojem otworzył kopertę, i wyczytał następujące słowa:

„Najsamwpirw niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, życze ci muj synku wszystkiego dobrego, żeby cie Najświętsza Panienka strzegła ode złego, a co do tego żeś mówił że żyjesz jak Pan jaki, to może mi przyslesz troche pienionzków bo Bóg świadkiem żem biedna mizerota i poniwleram się strasznie młandy ludźmi, niech cie Najświętsza Panienka strzerze od złego, a o matce i piniondzach nie przepominaj, bo by ci Pan Jezus to porachował nieboraku, kochajonca cie matka“.

—poczem opadł bezwładnie na podarte poduszki.





Wieczór w więzieniu.



*Ciszej i ciszej—milknie gwar rozmowy,
Gdzie, nigdzie słychać tylko kajdan brzęki,
Gdzie, nigdzie śmiech się odezwie nerwowy
I cisza—w duszy zostają rozdźwięki.
Księżyc nad basztą wychylił twarz bladą*

*I nikłym światłem napelnia mą celę,
Srebrząc przedmioty, cienie długie ściele,*

*I jeszcze jeden promień blady, nikły,
Posyła ziemi. Wpełznął na murawę
I znikł nazarwsze. Ten obraz niezwykle,
Ta dziwna cisza, niczem niezmącona,
Przytłacza duszę, w uszach dzwoni szumi,
Nadzieję wszelką, wiarę wszelką tłumi,
Zda się, że każda myśl wśród ciszy kona.*

Bernard Buchholtz.





Fragment.



W domku parterowym należącym do fabryki, a przeznaczonym przez Zarząd takowej na mieszkanie dla urzędników, a w szczególności w jednym z pokoiów tego domku cicho było i smutno.

Na łóżku stojącym pod otwartym oknem leżał człowiek w wieku lat około czterdziestu z twarzą bez krwi i życia, której pozostawał jedynie tylko cień wyrazu smutku i cichego zachwyty. To biedny urzędnik fabryki, do której należał wyżej wspomniany dom. złamany życiem i ciągłą z nim walką przedwcześnie odchodzi w krainy nieznane, a straszne.

Choroba jego od dawna się już rozwijała i nie raz przechodzić musiał straszliwie jej ataki, które jednak przetrzymał: dziś uczuł, że jest to dla niego dzień ostatni. Dziś chce raz jeszcze zobaczyć to słońce które ukochał, i dla tego prosił żonę o przystawienie łóżka jego pod okno, oraz o otworzenie takowego, czemu żona jego przywoławszy do pomocy dwóch robotników zadość uczyniła.

Pan Jan, tak się bowiem nazywał chory, o którym mowa, czuł umierając, iż pozostaje mu jeszcze na tym świecie uczynić jedno, a mianowicie przekazać synowi swojemu dążenie, do światła, którego sam osiągnąć w całości pomimo szalonych wysiłków nie potrafił, a czego tak pragnął dla swego Stefka.

W tym celu, oczywiście za pozwoleniem dyrektora fabryki, posłane zostały do miasta, w którym Stefek uczęszczał do szkoły, konie zaprzężone do bryczki, woźnica której wiozł ze sobą list matki do syna. List brzmiał: „Stefciu! Tatusz bardzo niezdrow, przyjeżdżaj zaraz, bo chce cię błogosławić. Matka.”

Nie w tym, oczywiście dziwnego, że Stefek otrzymawszy taki list o godzinie drugiej po południu, zaledwie dał czas koniom nieco odpocząć i już o czwartej był w drodze, z myślą, aby jak najprędzej przebyć czteromilową przestrzeń, dzielącą go od umierającego ojca.

Niewesołe myśli opanowywały umysł piętnastoletniego czwartoklasisty.

Stefek, którego życie i praca nauczyły czuć i myśleć realnie, z jednej strony żałował aż do rozpaczy ojca, z drugiej jednocześnie myślał co będzie z matką, z czego się ona utrzyma, ona tak wąła, potrzebująca dobrego odżywiania i spokoju.

Myśli te zajęły niepodzielnie jego umysł...

Wtem drgnął... A jego nauka? To światło, dążenie do którego tak zalecał mu ojciec. Nauka... światło... wiedza... poznanie..., słowa te jakby biegały mu teraz wkoło po głowie, przez którą przeszedł w końcu żal do ojca: Ach, czemuż mi Ojciec pokazał to światło, kiedyś mi go dać nie mógł, i czemu dziś odchodzisz, zrzekając się przez to pomocy w osiągnięciu tego światła przeze mnie? Czemu?...

Znów drgnął... tym razem otrząsnął się z tych samolubnych i niskich, jak się sam w duchu wyraził myśli, i oddał się pierwszym, godniejszym syna stojącego wobec tak strasznego faktu.

Tam, tymczasem ojciec zbliżał się coraz więcej do śmierci, a, nie mogąc doczekać się syna, smutnym był..., życie ubiegało mu z każdą chwilą, już... już... czuł zbliżający się koniec, a Stofka jeszcze nie było. Siadł... żona z przestachem, przebijającym w jej zapłakanych oczach, spojrzała na niego. Siadł i przemówił urywaniem głosem: Umieram... bądź szczęśliwa... pamiętaj... Stefek... niech... się... uczy... bo... wiedza to potęga!...

Ostatnie słowa wykrzyknął prawie z wysiłku i opadł na poduszki trupa...

Stefek po przyjeździe zobaczył gromnicę, trupa i płaczącą matkę.

Wdar.





Gdy Ciebie ból...

Gdy Ciebie ból,
Gdy Ciebie żal,
W najczulszą strunę trąca,
Ty jako mistrz
W sercu pal, niszczy
Jak niszczy lawa gorąca.

Gdy Tobą ból,
Gdy Tobą żal
Targa jak wichur lodzią,
Nie pytaj nic
Co powie widz,
Zasłoń się lez powodzią.

Choć serce ból,
Choć serce żal
Gryzie jak mól tkaninę,
Gdy będziesz chcieć,
Wnet możesz mieć
Wesołą człeku minę.

Gdy Ty swój ból,
Gdy Ty swój żal
Chcesz wydrzeć światu człecze,
Z miną wesołą
Patrzaj wokół,
A świat go nie wywlecze.

SYLWETKA.



W małej izdebce na poddaszu, cisza panowała głucha przerywana od czasu do czasu suchym kaszlem leżącej na tapczanie kobiety, lat około czterdziestu, i turkotem maszyny, będącej ciągle w ruchu, w sąsiedniej izdebce. Chora widocznie oczekiwała kogoś, gdyż ciągle niepokojnie spoglądała na drzwi. Naraz wszedł, nie! wpadł raczej młodzieniec lat około 18. Czarne oczy, spoglądające rozumnie z pod wysokiego czoła wyrażały jakąś niemą rozpacz, targającą snąć duszę jego. „Julku,” wyszeptała cichym głosem matka: „masz co?” „Nic.” odrzekł Julek. W tym jednym słowie zabrzmiała jakaś skarga i rozpacz zarazem, coś co targało serce i duszę, co brzmiało całą gamą uczuć nurtujących młodziana. Julek usiadł, a raczej upadł na krzesło, jedyny prawie sprzęt izdebki, gdyż reszta znajdowała się w rękach nie nasyczonego niczym lichwiarza; oparł rękę na jedynym oknie izdebki i patrzył w dal. Smutny był widok z okienka poddasza: widać było jedynie wysokie kominy fabryk, wznoszące się ku niebu, jakby jakieś wojsko olbrzymów, jakby setki dzid, wymierzone przeciw niemu. Maszyna obok turkotała. Ach! ta maszyna mącąca ciszę w mieszkaniu, turkocze i turkocze bez chwili odpoczynku dzień i noc. Julek westchnął:—szczęśliwi ludzie pracują, mogą pracować, a ja...I znów zamyślił się, spojrzał przez okno. Zdawało mu się, że wysokie kominy urągają mu i grożą,

że jeszcze chwila, a wpadną do jego nędznej izdebki i zduszą go i zadławią. Zakrył oczy ręką. Nieznośna maszyna wciąż turkocze. Czy ona nigdy nie przestanie? I przypomniał sobie ruch fabryczny, wesole krzyki towarzyszy, turkot maszyn, zgrzyt pilników, kiedyś pracował. Kiedyś! Wszak to tak niedawno, miesiąc tylko. Miesiąc: tak krótki czas, a jednak brzemienno tyloma wypadkami. Z początku kilka dni pierwszych, pełnych wesela i uciech, minęło szybko, a potem, gdy fundusze się wyczerpały, ciągle myśl o jutrze nie dawała spokoju, nieczynność stała się nudną, czas się niemożliwie długo włókł i nędza zajrzała w oczy. Wszystko sprzedał. Obejrzał okiem izdebkę. Niema nic, coby przyniosło parę groszy, nędznych parę groszy, za które mógłby kupić, bodaj kęs chleba czarnego...

„Julku, pić” dało się słyszeć z tapczana. Uczynił zadość prośbie i znowu usiadł. Głód mu dokuczał. Od rana nic w ustach nie miał. A maszyna turkotała. To raz gniewnie warczała, to znowu wybuchała nagłym śmiechem, jakby się naigrywała z beczynności Julka. A on się znowu zamyślił. „Ach! te strajki! te strajki”. Pamięta pierwszy. Przyszedł jak zwykle do pracy, rozległ się zwykły turkot i szcęk maszyn, a potem nagle świstek i wszystko stało się, jakby na rozkaz jakiegoś czarnoksiężnika. Zaległa cisza. Po pierwszym strajku nastąpił drugi, trzeci i tak ciągle, ciągle. Strajki i wiece. Ach! te wiece w brudnych zakopconych izbach fabrycznych, gdzie jeden mówca zmieniał drugiego, gdzie się rozdawały tylko okrzyki: „śmierć burżujom, niech żyje proletariat”.

Spojrzał przez okno. Na dworze mrok zapadał. Niejasne sylwetki kominów, zdawało się, że plwają na niego, to znowu zbliżają się do niego i śmieją się zeń. Odwrócił oczy,

spojrzał w przeciwny kąt izdebki. Tam na nędznym posłaniu leżała chora matka. Ta matka, ta jedyna istota, którą on tak ukochał leżała teraz chora. A on beczynny nie miał za co sprowadzić doktora i lekarstw zakupuć dla tej matki, za którą by własne swe życie oddał.

I przypominały mu się pierwsze dni dzieciństwa, kiedy go matka uczyła po raz pierwszy słów pacierza, a on głosem niepewnym powtarzał za nią: „Ojcze nasz“. A teraz i modlić się zapomniał, a zresztą kto to wie, czy istotnie istnieje Bóg jakiś, bo jeśliby istniał, czy znosiłby on takie chwile nędzy, jakie teraz cierpi.

Rozległ się długi, suchy kaszel matki i cichy szept: Ju...Ju... Julku. Podeszedł. Spojrzał na matkę. Błada, pomarszczona przedwcześnie twarz matki była pokryta potem, „Ju...Ju ku“ szepotały spieczone wargi „umieram. Pa...pa...miętaj: do pracy, do pracy, do pra...“ I nie mogła dokończyć. Kaszel gwałtowny wyrwał słowa ostatnie, i pociekła z jej ust cienka smuga krwi. Jeszcze raz się wstrząsnęła i skostniała, a jemu w uszach dzwięczały ostatnie jej słowa: „do pracy“, „do pracy“.

Obok w izdebce turkotała maszyna i w swym turkocie bezustannym śpiewała hymn „Do pracy“.

B.



Dajcie mi sił...

*Dajcie mi sił, dajcie mi żyć,
Dajcie żyć życiem prawdziwym;
Nie tym, co każe marzyć lub śnić,
Lecz tym, co Dobra snuć będzie nieć
Na własnym ciele obwita.*

*Dajcie mi sił, dajcie mi żyć,
Zróbcie żyjącym me życie,
Nie tym, co chce się z zazdrości mścić
Na ludziach, których życia nieć
Z miłości włókien usnuta.*

*Dajcie mi sił, dajcie mi żyć,
Dajcie żyć życiem prawdziwym,
Nie tym, co każe marzyć lub śnić...*

*.
Ach, pytam: Dacie, nie dacie?*

*.
Odpowiedź próżno chcecie skryć:
. Wy sami życia nie macie!*

Ka,





MAŃKA.



Mańka ma lat 16 i chodzi na pensję do klasy piątej, uczy się dobrze; ciężko jej „idzie” tylko z wypracowaniami piśmiennymi, do których nie czuje przekonania, gdyż siedzenie kilkominutowe nad kajetem nie bardzo się jej uśmiecha.

Omylił by się jednakowoż ten, ktoby pomyślał, że ma z takowych złe stopnie.

O nie! Cóż Mańka winna temu, że ma ładne oczy i warkocze, a w tym grunt.

Spytacie dlaczego? Bardzo proste, wszak każdy sztubak za jedno lub więcej spojrzenie ponętnych jej oczu odżałuje stracenie czasu na napisanie jej ćwiczenia, dzięki czemu w zeszytach prawie zawsze stoi: bardzo dobrze, dobrze, lub conajmniej: dostatecznie.

Najgorliwszym w pisywaniu ćwiczeń był swego czasu Janek, brat jej koleżanki i przyjaciółki. Dlaczego był najgorliwszym, tego zdaje się i tłumaczyć nie trzeba, oni, to jest „koza” Mańka i „sztubak” Janek, jak o nich w gronie kolegów i koleżanek głośno pod sekretem opowiadano, „kochali się”.

Tak, Mańka, co jest zresztą nieodzownym przymiotem „kozy”, „kochala się” w nim, on znowu, wychodząc z zupełnie odrębnego „sztubackiego” stanowiska, schodził się z nią na tym punkcie i znowu „kochał się” w niej.

Lecz to minęło. Dziś Mańka w to się nie bawi wprost dla tego że... albowiem ona wie, zresztą dlaczego, dość że się nie bawi.

Do najprzyjemniejszych jednakowoż chwil zalicza wspomnienia o tym, jak to Janek, według opowiadań siostry Wandy, kiedy ona, Mańka była na kolacji u państwa Tarskich, rodziców Wandy i Janka, zwykle odstawiał potem krzesło na którym ona siedziała na bok, po to, aby na drugi dzień święcie siedzieć na nim przy śniadaniu, lub o tym, jak Janek rozmarzonymi oczyma spoglądał w jej oczy, lub warkocze i jak czasem prawie ze łzami prosił ją o jakiś mały kwiatusek. Mańka dziś to uważa za śmieszne dzieciństwo lubi jednak bardzo te wspomnienia.

Mańka, co już jest jasne z tego że się uczy dobrze jest zdolna, jest zdolniejsza nawet, niż by ze stopni wnioskować można, lecz ze zdolności tych nie korzysta w całej pełni i nie wyładowuje ich na zewnątrz, dzięki znowuż jednemu z nieodzownych „kozy” przymiotów mianowicie lenistwu.

O! Mańka jest bardzo leniwa i niewiele mniej pewnie ma w sobie lenistwa, niż zdolności, chociaż to pierwsze nie równoważy drugiego. O nie!

Mańka pracuje; praca ta swoją drogą jest więcej przyjemnością, uczy małe, biedne dzieci, uczy jednak więcej z amatorstwa, niż z poczucia obowiązku.

Uczy, bo lubi uczyć, zbiera z ulicy, od stróża i kucharki, małe dzieci, do których jednak nie czuje wielkiej sympatji, większą czuje do tytułu „nauczycielki“, którym każe się przez wszystkich obdarzać.

Jest jednakowoż jedno dziecko, które Mańka więcej, ba nawet dużo więcej lubi, niż swój tytuł nauczycielki.

Było to tak.

Raz w zimie, w czasie silnych mrozów podeszło do niej jakieś małe, skurczone, obdarte, wynędzniałe stworzenie i zapiszczało cieniutkim, drżącym, błagatnym głosem:

„Paniusiu, jeść....“

Mańce przyszło na myśl, aby stworzenie to ubrać, nakarmić i.... uczyć.

Właśnie miała czas na wzięcie jeszcze jednej uczenicy, na miejsce córki, świeżo przez jej rodziców odprawionej kucharki.

— Jak się nazywasz?

— A Felka.

— Czy masz rodziców?

- Matule to mam.
- A ojca?
- Nie, pomarł.
- A co robi twa matka?
- A praczka,
- A umiesz ty czytać.
- Teeeee.... trochę mama uczyli.
- A jeść ci się bardzo chce?
- O, bardzo!
- A chciałabyś się uczyć?
- Teeee... a ino...
- No to chodź.

Mańce wystarczyło te kilka odpowiedzi na porozrzucane zapytania, a już jej: „*mała*” przypadła do gustu.

Felka, zrazu nieśmiała, coraz ufniej spoglądała na swoją protektorkę, do czego dużo pomogło ofiarowanie jej *kosuliny, sukiencyny, pończochów i tsewików*.

Mańka dziwną do niej poczuła sympatię i coraz to liczniejsze dawała jej dowody takowej. Przeminął rok....

Felka umiała już porządnie czytać i pisać po polsku, zaczynała po rusku, miała już jakie takie pojęcie o działaniach arytmetycznych.

Mańka postanowiła oddać ją na pensję, nie wiedziała jednak jak to uczynić. Takie koszty: mundurek, książki i wpis, ach ten wpis najgorszy, skąd ona na to weźmie pieniędzy.

Rodzice chętnie by dali, ale cóż zrobić: ojciec zarabia tyle, że nie mógłby podjąć się placenia kosztów nauki Felki bez narażania na pokutowanie za to rodziny.

Mańka jednak postanowiwszy dopiąć celu postarała się o wyszukanie osoby, która by się podjęła ponosić koszty połączone z nauką Felki.

O! Mańka umie sobie poradzić, gdy zechce.

Udała się do babci, która miała złożony kapitałik. przy pomocy którego łatwo by było Felkę posyłać do szkoły. Upadła jednak na duchu dość prędko, gdyż babcia, kobieta starych czasów, konserwatystka i trochę arystokratka, nie chciała się w żaden sposób pogodzić z myślą uczenia jakiejś tam włóczęgi.

Zła, smutna i zrezygnowana wróciła Mańka do domu lecz, gdy spojrzała w smutne, bojaźliwe, a rozumne i poważne oczy Felki.... wróciła z powrotem do babci.

Teraz już się nie ugięła.

Dotąd płakała, prosiła, błagała, aż babcia zmiękczona uległa.

Dziś Felka chodzi do wstępnej klasy na pensję. Mańka jest zadowolona i dumną, nie pyszni się jednak swym czynem.

O nie! Po raz pierwszy czuje, że to tylko spełnienie obowiązku, obowiązku, którego jednak wielu nie rozumie, a chociaż i rozumie nie spełnia.

Mańka pisuje.

Dziwnym się to może wyda, że pisuje, wobec zastrzeżenia że ćwiczeń pisać nie lubi, „gdyż kilkogodzinne siedzenie nad kajetem nie bardzo się jej uśmiecha“. A jednak pisuje i łatwo jest taką na pozór sprzeczność wytłumaczyć.

Ćwiczenia, to narzucony obowiązek, mus, z narzuconym również z góry tematem. Do tego zaś pisanie nikt mię nie przymusza, piszę z własnej woli, piszę co chcę i kiedy chcę i dla tego to mię nie męczy, a i owszem rozrywa.“

Tłomaczy często sama sobie i tłumaczy względnie dość słusznie.

Spytacie co pisuje?

Ależ to proste, pisze co jej pod rękę wpadnie, a więc najpierw swój pamiętnik, co prawda ze zbyt wieloma czasowymi przerwami, pisze charakterystyki osób jej blizkich, a więc rodziców, babci, koleżanek, Janka i wielu innych, pisze obrazki z życia, opisuje fakty ze swojego „koziego“ żywota.

W ostatnich czasach Mańka porwała się na nowelkę, wyszła jej bardzo cprawda „kula-wo“, ależ to pierwsza jej próba.

Nowelka ta nosi tytuł „Felka“.

„Dlaczego ta dziewczyna chwyciła mię tak za serce, doprawdy nie wiem sama, co w niej „jest takiego? uczyłam już kilka, a żadna mię tak nie zajęła swym losem.

„Dla czego“ nie wiem sama,
„Toż takich jest wiele, bardzo wiele“.
Tak kończy swą nowelkę.
Oto Mańka.
A takich jest wiele, bardzo wiele.



SZCZĘŚLIWIE

— Maj zakwitnął, —

Miesiąc miłości i słowików w całej pełni zaparował nad światem, czarując wszystkich i wszystko potężnym swym urokiem.

—Hej! maju! cudny maju! jaką moc w sobie posiadasz, jaką potęgę!

Hej! hej! cudny maj, kwitnący maj,— pachnący,—wonny!

— Adasiowi było jakoś dziwnie duszno w mieszkaniu; robota mu nie szła, czytać nie mógł zupełnie nic, gdyż myśli nie chciały się skupić na jednym punkcie, lecz rozpraszając się, biegły niesfornie w dal. Z tego wlec powodu, Adaś odłożył na bok książkę, wyszedł z mieszkania i skierował swe kroki, przez ogród na wąską drożynkę, która poczynając się tuż za ogrodową furtką, biegła po i przez pola wprost do lasu.

Uszedłszy trochę, zatrzymał się i spojrzał wokół.

Za nim roztaczał się cudny widok, ozłocony promieniami zachodzącego słońca; wioska rozrzucona w malowniczym nieładzie, na wzgórzu kościółek, panujący nad nią, a w dali srebrna wstęga rzeki, zlewały się w harmonijną całość. Z przodu zaś dolatywał posępny, lecz mimo to wspinały szum lasu.

Adam, wszedłszy do lasu, wybrał odpowiednie miejsce i położył się na wznak założywszy ręce pod głowę. Las szumiał.

To słabiej—to znów mocniej, to łagodnie—to znów gwałtownie, kołysały się, łopocąc liśćmi drzewa i sprawiały ów czarodziejski szum.

.....Opowiadają sobie drzewa, o swych smutkach, zawodach.

Rozmowa taka silnie się zakorzenia w młodej duszy. —I Adasiowi też przemawiała do serca.

Szum drzew, zapach kwiatów, śpiew słowików— wszystko to głęboko wchodziło mu do duszy, zostawiając poi sobie niezatarte wrażenie.

I było mu lekko,—było mu błogo,—było mu bardzo dobrze.

I zdawało mu się, że na wieki mógłby tak pozostać, i z podłożonymi pod głowę rękoma, słuchając szumu lasu i śpiewania ptaków,—leżeć i marzyć.....

— O czym?...

— O niczem!

I było mu błogo.....

— A jednak!

A jednak brakowało mu czegoś. Uczuwał w koło siebie jakąś pustkę—i nie tylko w koło siebie, lecz w sobie samym.

A pustka ta, pomimo całej błogości, jaką mu w duszy zostawiał ten majowy wieczór, gniotła go strasznie,—przygniatała go tak,—że chciał krzyczeć—lecz nie mógł.

Nie wiedział co mu jest, nie mógł sobie zdać sprawy z tego,—i to go tak męczyło.....

Wtem!

Wtem od strony wioski poczęły dobiegać głosy. Z początku pojedyncze, następnie przybywało ich coraz więcej, wreszcie zlały się w jedną całość i wtedy już wyraźnie odróżnić można było słowa starej, a potężnej pieśni:

„Święty Boże!
Święty mocny!
Święty, a nieśmiertelny!
Zmiłuj się nad nami!”

.To nabożeństwo majowe. A starą tę pieśń śpiewają ludzie, śpiewają ludzie prości, oderwani wprost od pracy—i śpiewają całą duszą—całym sercem.

Zrozumiał!

Zgłębił przyczynę tego, co go tak męczyło, zrozumiał co znaczy w koło niego—ta pustka—zrozumiał—i zamyślił się.

—Szczęśliwi,—szepnął,—szczęśliwi, gdyż znaleźli ideał. Wierzą—i to im wystarcza do szczęścia.—Szczęśliwi!

I, podniósłszy się z ziemi, począł iść ku domowi zamyślony, a w myśli tkwił mu tylko ten jeden wyraz:
Szczęśliwi!

A ku niebu wzbijała się potężnym głosem stara pieśń:

Święty Boże!
Święty mocny!
Święty, a nieśmiertelny!
Zmiłuj się nad nami!"

Szczęśliwi!

N.





Z WYCIECZKI.



W pewien piękny dzień lipcowy w godzinach popołudniowych po stromej, krętej ścieżce, prowadzącej do ruin zamku, stojącego na górze z trudem, lecz i śmiechem, niezobecnym towarzyszem młodości, wspinali się czterej sztubacy-wycieczkowicze.

Prowadzili głośnie i czywioną rozmowę o..... bo ja wiem o czym.... o wszystkim i o niczym, a zresztą, wybrawszy sobie kozła ofiarnego z pośród siebie, kpili i drwili z niego i to ich tak rozwesołało. Doszedłszy do połowy góry, uznali widocznie za stosowne odpocząć, gdyż pozejmowali z pleców tornistry i rozsiedli się na murawie, rosnącej obok wydeptanej ścieżki. Jeden z nich zanucił.... koledzy podchwycili i popłynęła potężna wszechmłodzieńcza pieśń: „Gadeamus igitur“. Po pierwszej zwrotce druga, później trzecia.... i już kończono tę ostatnią, gdy usłyszano, że dwa głosy, nie należące do żadnego z nich—męski i kobiecy, dołączyły się

do nich i razem już zgodnie dośpiewali do końca, nie widząc się wzajemnie. Po skończeniu młodzieńcy spoglądali na siebie zdumieni, gdyż nie spodziewali się spotkać w tym pustkowiu dusz im pokrewnych, i zaciekawieni nadśluchiwali z kądem głos ich dochodził. Po kilku minutach usłyszeli rozmowę dość ożywioną o tej pieśni, prowadzoną między mężczyzną i kobietą. Zaciekawienie wzrosło. W milczeniu zadawali samym sobie pytanie, kto mógł być ten, kto z równym, a może z większym nawet od nich entuzjazmem śpiewał tę wieczną pieśń młodości. Aż nareszcie oni sami ukazali się na zakręcie ścieżki. Od pierwszego spojrzenia można było poznać po ich uśmiechniętych twarzach i oczach, które jakby siłą magnetyczną ciągnięte wysyłały serdeczne promienie ku sobie, że są to ludzie szczęśliwi i.... zakochani. On student, a można było to poznać po czapce z fantazją włożonej na głowę, młody—dwudziestokilkuletni, przystojny i elegancki, wysoki, brunet—ona też wysoka, mniej więcej ośmnasto lub dziewiętnastoletnia blondynka o kształtach wspaniałych, które wyraźnie rysowały się z pod eleganckiej obcisłej sukienki. Przytuleni do siebie z dłonią w dłoni przeszli obok sztubaków i, odpowiedziawszy ukłonem na ich ukłony, znikli na zakręcie, pozostawiając w duszach młodzieńców świetlany obraz szczęścia. Żaden z nich nie przyznał by się, że widok taki zbudził w nim pragnienia, może głęboko ukryte, a jednak milczenie, jakie zapanowało po przejściu dwojga kochanków, i powaga, która oblokła ich twarze jakimś łagodnym cieniem wystarczały, by to potwierdzić. Przez chwil kilka jeszcze słychać było głosy oddalających się, lecz i te wkrótce umilkły i znowu zapanowała cisza. Odpocząwszy jeszcze nieco, wycieczkowicze powstali z miejsc swoich i, wzięwszy tornistry na plecy, w milczeniu poszli ku ruinom. Gdy dochodzili do tych zniszczonych przez czas murów niegdyś wspaniałego zamku, spotkali raz jeszcze wra-

cających ztamtąd kochanków. Na twarzach ich nie znać było zupełnie wrażenia, odbijającego się zwykle na twarzach zwiedzających te szczątki pozostałe z niewzruszonych kolosów, jakimi się kiedyś te zamki budowane na górach lub skałach zdawały. Widocznie szczęście tak ich pochłaniało całkowicie, że nie zostawiło miejsca na rozmyślanie o sile otaczającej ich przyrody. Przeszli.....

W cztery dni później spotykamy też samą grupę wycieczkowiczów, przechodzącą przez niewielkie miasteczko leżące na drodze ku X... Dzień był bardzo gorący, a oni szli od paru godzin pod piekącymi promieniami słońca, nic więc dziwnego, że zmęczeni i spragnieni, zapragnęli ochłodzić się trochę i zwilżyć spieczone usta wodą. Zaszli przeto do jednego z brudnych żydowskich sklepików, jakich nie brak w każdym miasteczku i tam poprosili o wodę. Jeszcze nie skończyli pić, gdy do sklepiku wszedł jakiś małomiasteczkowy obywatel i zaczął opowiadać wzburzonym głosem o wypadku jaki miał miejsce w dniu tym po za miasteczkiem.

Zaciekawieni przysunęli się bliżej i usłyszeli co następuje: „Od miasta X.... jechała para narzeczonych z Jej matką. Zmęczeni podróżą zatrzymali się w zajeździe, stojącym po za miasteczkiem, aby odpocząć i cośkolwiek „przegryźć“. Po wygodnym ulokowaniu narzeczonej i jej matki, narzeczony wyszedł, ażeby ochłodzić się w rzeczce, płynącej o kilkaset kroków od zajazdu, zapewniając kobiety, że za kilkanaście minut powróci. Wyszedł i nie wrócił. Rzecz-

ka choć nie wielka pochłonęła już wiele ofiar i do kompletu brakło jej widocznie i jego, bo go zabrała, wydzierając szczęściu. Kiedy nie wracał po godzinie, zaniepokojone kobiety wysłały służącego z zajazdu, aby poszedł po niego. Lecz to było zbyt późnym. Jeszcze poza próg domu nie wyszedł, gdy wpadła zdyszana kobieta z wiadomością, że jakiś młody, „pan“ utopił się i poszukują go w wodzie. Po usłyszeniu tej wieści starsza kobieta zemdląła. Młodsza zbladła, chwyciła się za głowę, później przyłożyła rękę do serca, jak gdyby chciała się upewnić czy jeszcze nie pękło i po tym ruchu stała przez chwil kilka jak skamieniały posąg bóleści. Później ocknęła się i wybiegła jak szalona z zajazdu. Zatrzymała się dopiero nad rzeczką, po obydwóch stronach której stali ciekawi mieszkańcy miasteczka i pobliskiej wsi. Pomimo energicznych poszukiwań ciała do tej pory nie znaleziono.“ Usłyszeli jeszcze, że posłano po doktora, aby, gdy topielca wydobydą, powrócił go do życia. Najważniejszego kto był ten młodzieniec opowiadający nie wiedział. Sztubacy skończywszy pić wodę zapłacili sklepikarzowi i zbrojni w te szczegóły poszli nad rzekę. Gdy doszli do miejsca w którym utopił się, nikogo tam nie zastali, lecz o kilkaset kroków dalej dostrzegli grupę ludzi stojących przed stodołą. Zbliżyli się tam i spytali czy wydobyto już z wody owego „pana“ i, o ile wydobyto, gdzie leży. Wskazano im otwarte wierzeje stodoły. Weszli tam. Na ziemi leżał przykryty białym płótnem trup. Przecisnąwszy się przez grupę „kumoszek“, młodzieńcy odkryli płótno i stanęli jak wryci. W umarłym poznali studenta z pod ruin.....

C. S.





Pewnego razu, jeden król
Podeszły dobrze w lata
Niezmiernie się dowiedzieć chciał,
Jak prędko miejsce będzie miał
Ów straszny koniec świata.

Duszę mu wielki dławiał żal
Na myśl, że pracy lata,

Że wielkie dzieła twórczych sił
Obróci jedna chwilka w pył,
Gdy będzie koniec świata.

Zawezwał sławnych mędrców trzech,
Poważne są ich lica,
A chłód z ich twarzy taki wiał
Jak od lodowych nagich skał,
Co niosą?—tajemnica.

Jeden z tych mędrców rzecze tak:
„O! długie jeszcze lata,
Gdyż jeden pasterz musi być,
Owczarnię jedną musi mieć,
Nim będzie koniec świata“.

A drugi mówił: „Ja to wiem
Napewno i dokładnie,

Gdy w słońcu ognia zniknie ślad,
Wtedy zaginie stary świat
I życie z nim upadnie“.

A myśli władcy płyną w dal
Jakby wezbrane rzeką:
Czyż warto niepokoić się?
Toć przecie jeszcze nie jest źle.
Gdy zguba tak daleko!

Pomrzemy przecież wszyscy wprzód
My i pokoleń masy.
Więc pocóż niepokoić się,
Toć przecie jeszcze nie tak źle,
Odległe zguby czasu

.
Tak myślał władca. Lecz myśl tę,

Co biegła dalej z szumem
Nie jego mózgu dała toń.
To trzeci mędrzec mówił doń.
A zwali go—Rozumem.

Z. T.





ankietnik.



Te, małpa, czy Wacek, czy jak ci tam zresztą na imię, dawaj pomadę do butów.

— Masz.

— Psiakość zapomniałem grzebyka, Wacek dasz mi swojego?

Młody szesnastoletni „sztubak”. niskiego wzrostu, jasny blondyn o niebieskich oczach i dość gładkiej powierzchowności, skrzywił się niemilosiernie na daną mu propozycję, uznał jednak widocznie autorytet kolegi starszego oden o trzy lata i wyższego o pięć i pół cala, gdyż niezwłocznie wybąknął:

— Bierz cię djabli, dam ci.

— Podaj no brzytwę, to się trochę podgołę—męczył go dalej starszy.

— Ciekawy jestem gdzie? Masz tobie.....

Cienka struga atramentu pocięła w kierunku rozstawionych na oknie śnieżystej białości mankietów starszego z kolegów, plamiąc je niemilosiernie.

— Ach ty durniu, ośle dardanelski, skureczybyku, nie może malpa holenderska uważać, że stoi atrament, dawaj teraz durniu swoje mankiety.

— Kiedy widzisz Tadek, jest jakby ci to powiedzieć, ja wcale nie chcący, a co do dania ci swoich, to już tego nie uczynię.

— Musisz durniu.

— Nie dam, bo nie mam.

— Jakto, bez mankietów włożysz durniu do cudzego domu, do porządných ludzi? Ja bo nie myślę.

— Kazik przyjdzie, to ci może da swoje.

Trzeba zaznaczyć, że Kazik, o którym mowa, był właścicielem „kawalerskiego pokoju“, do którego zwalili się Tadek i Wacek dla oporządzenia się przed pójściem na sztubacki wieczorek.

— Może, może, ale morze szerokie i głębokie.

Jakoż morze okazało się rzeczywiście głębokie, gdyż Kazik mankietów oprócz jednej pary na rękę, a drugiej w pralni, nie posiadał.

— Bierz djabli, bez mankietów jak świnia, albo Wacek nie pójdę, wełę nie iść wcale.—Pójdziesz.—Nie pójdę.

— Pójdziesz, bo coby bez ciebie robiła Mańka, zanudziłaby się biedaczka, zapłakała z niepokoju o ciebie.

Na wspomnienie Mańki Tadek jakoś zmiął w swoim postanowieniu i dodał żałośnie

— I daj ty co takiemu blaznowi, bydlakowi do zrobienia, zaraz spaskudzi i potem cierp biedaku.

Nie mógł jednak pozwolić, aby taki „smarkacz“ wtrącał się w jego „sercowe“ sprawy, i dodał niezwłocznie:

— A co do Mańki, to ci trutniu wara, bo uszy pobrywam, pilnuj lepiej swej Zośki, żeby jej kto soli na ogon nie nasypał, i nie walaj porządnym ludziom mankietów.

„Smarkacz“ zrobił minę obrażonego i już chciał się odejść, gdy Kazik, który dotąd nie brał w całej tej kłótni udziału, a tylko śmiał się do rozpuku, odezwał się w te słowa:

— Nie kłóć się jeden z drugim, bo wyrzucę na hac z mieszkania, lepiej byście kombinowali skąd wydobyć dla Tadka mankiety.

— Niech „mały“ kombinuje, kiedy te powalał.

— „Mały“ zaczął biegać po pokoju, przyczym znakiem, że myśli nad powierzoną mu kwestją były rozpaczliwe ruchy rąk: naraz stanął, rozstawił nogi szeroko i wykrzyknął: „Mam“.

— Nie drzyj się, kiedy jesteś w porządnym mieszkaniu.—strofował go Kazik.

— Masz?

— Aha!—wiesz jakśmy grali na „Choince“ trzy lata temu szopkę co Kazik grał diabła, to ma jeszcze jego mankiety, pokazywał mi niedawno.

— Zwarjowałeś? czarne, nie wezmę—wzdragal się Tadek.

— Weźmiesz, bo bez mankietów jakś powiedział nie pójdziesz, a pójść musisz, bo przecież Mańka.

— Milcz!

Jeszcze trochę kłótni, uspakajania, perswazji i Tadek dał się nakłonić, tymbardziej, że pomysłowy Wacek dał mu sposób wytłumaczenia się nawet w razie spotkania jakiego natrętnego ciekawca: powodem tym była żaloba po jakimś krewnym, którego, notabene, Tadek nie widział nigdy na oczy i nie wiedział jak mu było na imię.

Bawiono się nieźle, można powiedzieć nawet dobrze, aż do kolacji, przy której zaszła malutka okoliczność, która zmusiła wszystkich do powściągliwości w objawach humoru.

Babcia, bardzo szanowana osoba w rodzinie, która przyjmowała dziś młode grono, dotąd wesółą jak rzadko, przy kolacji spojrzawszy w stronę Tadeka, siedzącego opodal, opuściła nagle łyżeczkę z rąk, co spowodowało pęknięcie szklanki, wylanie się z takowej herbaty na serwetę, oraz popłoch w całym gronie, i opadła na krzesło, porzem, przyszedłszy do siebie, chciała się uśmiechnąć, gdy znów spojrzała w stronę Tadeka i... obróciwszy się prędko, wyszła do drugiego pokoju.

Pomimo zapewnienia pani domu iż „babei“ nie nie jest, wszyscy, a w szczególności „wszystkie“ straciły już humor do zabawy i niedługo zaczęto się rozchodzić.

Wacek stał już w palcie we drzwiach, gdy poproszono go jeszcze o łaskawe zatrzymanie się na pięć minut, gdyż „babcia“ ma do niego interes.

Zdjął palto i wszedł do pokoju, gdzie siedziała babcia w fotelu.

— Kto jest ten, ten....

— Jaki ten proszę Pani?

- Ten co siedział trzeci odemnie po lewej ręce, między Maniusią a Stasią?
- To mój kolega, bardzo dobry chłopiec, nazywa się Tadeusz Grzecki, proszę Pani.
- Pan go wprowadził dziś?
- Ja.
- Niech Pan pamięta żeby noga jego tu więcej nie postąła. Ja mam wnuczki i muszę dbać o nie... Wacek skłonił się w milezeniu, zrobił jednak mocno zdziwioną minę.
- I Pan się dziwi, Panie Wacławie, a ja Pana miałam za rozsądnego chłopca. Pan chcesz, abym ja pozwoliła przychodzić do siebie temu Mankietnikowi, aby mi zgorszenie tu siał.
- Jakiemu mankietnikowi?
- Jakto jakiemu?, temu, temu pańskiemu koledze, czy jaki tam.
- Ależ on nie jest wcale Mankietnikiem?
- Jakto nie jest, ja dobrze widziałam, że miał czarne bez spinek mankiety.
- Wacek nie powstrzymał się i parsknął śmiechem na cały głos.
- Gdy opowiedział to Tadekowi na drugi dzień, dodał:
- Widzisz, że lepiej się od ciebie urządzam, nie nosząc wcale mankietów, nikt mię przynajmniej nie posądzi o Mankietnietw.

Zojda.





